



TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

KOKOS SESZELSKI.

Roślinność wysp Seszelskich przedstawiałaby się bardzo biednie, gdyby nie kokos Maldywski który rośnie tam w obfitości na wybrzeżach. (*Codoicea Sechellarum*).

Owoc tego pięknego drzewa, to prawdziwe cudo botaniki. Dawniej cały archipelag prawie posiadał gęste gaje tej wspaniałej palmy; dziś znajduje się ona tylko na wyspach Praslin, Ciekawej i Okrągłej.

Na pierwszej z nich istnieje wąwóz, gdzie rzadkie to drzewo rośnie obficie, nadając miejscowości bardzo oryginalną fizyognomię; przypomina bowiem kolosalną vegetację zapadłych epok geologicznych.

Celem ochrony palmy morskiej od zupełnej zagłady, krajowcy zrobili z owego wąwozu park narodowy, taki sam, jak amerykańanie z doliny Josemit, gdzie wzrastają wspaniałe drzewa, nie mające równych sobie na całym świecie.

Olbrzymi orzech palmy seszelskiej jest używanym jako lecznictwa, znane oddawna pod nazwą waz z wyspy Praslin.

Owoc ten dosięga szalonych cen i znaleźć go można w bogatych księżących zbiorach.

Opowiadają nawet, iż jakiś cesarz niemiecki ofiarował za jedną sztukę, potrzebną mu na lekarstwo, sumę 20,000 rs. Baśń ludowa twierdzi, iż orzech ten jest owocem jakiejś olbrzymiej rośliny podmorskiej, morze wyrzuca go na brzeg o czasie do czasu, owoc zaś posiadać ma cudowne własności lecznicze.

Dziś wiadomo, że orzech ten zawiera w sobie zarodek najwspanialszej ze wszystkich palm *Codoicea Sechellarum*.

Dotychczas nie potrafiiono postawić go w warunkach takich, żeby kiełkował; udało się to dopiero przed pół rokiem ogrodnikom z botanicznego londyńskiego ogrodu.



Orzech, jak widać na rycinie, wypuszcza długi pęd, który żywi roślinę, umieszczoną w doniczce. Wiadomo, że większa część roślin, czerpie podobnie pokarm, najprzód nie z ziemi lecz z owocu macierzystego.

Orzech *Codoicea* ma 30 cent. długości. Dziś wyhodowana we wspomnionym ogrodzie roślina, liczy już 1 m. 20 cm. wysokości, a pomimo to jeszcze nie przestała ssać soki ze swego orzecha. To może dać pojęcie o tem, jakich dosięgnie rozmiarów, kiedy rozrośnie się zupełnie.

SŁONECZKO.

Słonko rzecze: — „Oj! czemu
Mnie, słoneczku letniemu
Nie świecić zimę całą?
Płomieni moich siłą
Wnetbym lody stopiło,
Bose nóżki ogrzało.

Pałające nad ziemią,
Z niw, co pod śniegiem drzemią
Wnetbym wywiodło kłosy:
Zaszumiałoby złoże,
Zakwitły maki hoże,
Bławat, lilie i wrzosey.

Wciąż ognieście jarzące,
Jagniątkom bym na łące
Nie przerwało zabawy...
I byłoby, jak trzeba —
Nie wołałby nikt chleba,
Nie znał mrozu obawy...”

Śnieg puszysty mu na to:
— „Gdyby wciąż trwało lato
Kiedyżby ziemi łośno,
Co od trudów omdlało,
Spocząc mogło pod białą
Puchów moich osłona?”

Zima porą wywczasu
Dla łąki, roli, lasu;
Spoczynek każde święci —
Gdy wiosny błysnie rano,
Do pracy znowu staną
Snem zimy wypoczęci.

Tych, co w nędzy i trudzie,
Kiedyżby wsparli ludzie,
Miłosierdziem ofiarni,
Gdyby nie ja — co trwożę,
Bose nóżki w komorze
A jagnięta w owczarni?

T. P.

LEGENDA SZKOCKA.

W jednym z najpiękniejszych zakątków górnej Szkocyi, pośród gór i lasów, pod zawsze prawie pogodnym niebem, wznosił się starożytny zamek, jakby wyrosły na środku ogromnego jeziora, po którego przejrzystych wodach, okrążając gmach, niby straż wierna, pływała majestatycznie para srebrnopiórych, wspaniałych łabędzi. Zamek zwał się Closeburn, i był gniazdem niezmiernie dawnej i również poważanej rodziny Kirkpatrick'ów. Łabędzie były dla zamku i okolicy tem samem, czem u nas są bociany dla domostwa na którym się zagnieżdżają. Tak samo odlatywały przed zimą i wracały z wiosną, żegnane ze smutkiem, witane z radością; zawsze tylko jedna para.

Od niepamiętnych czasów cała okolica począwszy od panów zamku, upatrywała jakiś tajemniczy stosunek pomiędzy temi łabędziami i rodem Kirkpatrick'ów. Mnóstwo osnutych, na tem tle opowiadań krążyło pomiędzy ludem. Łabędzie zdawały się wyróżniać i lubić dzieci zamkowe. Na widok pana lub pani zamku, zbliżały się zwolna do brzegu i przyjmowały z ręki ich pożywienie; ale gdy dziecko dziedziców ukazywało się na ścieżce wiodącej do jeziora, zapominały nieledwie zwykłej im powagi i śpieszyły bystro przecinając srebrne wód

fale, wychodziły na murawę, i pozwalały pieścić się swoim ulubieńcom, tuląc się do nich i dopiero za zbliżeniem się ludzi starszych wracały zwolna do wody.

Oczywiście, dzieci te dorósłszy zachowywały zawsze dla łabędzi jakieś tkliwe uczucie, podniecane jeszcze opowiadaniem starych nianiek o tajemniczym wpływie tych ptaków. Co prawda miłemi musiały być dla całej okolicy te zwiastuny wiosny, ale fantazyja ludowa, chciała w tem koniecznie czegoś więcej dopatrzyć, zwłaszcza, że długimi wieczorami przy kominiu trzeba było przecież koniecznie o czemś gawędzić. Tak właśnie, tylko ciszej niż zwykle, gawędzono pewnego wieczora; ciszej, bo w przyległej dużej komnacie, mały sześciolatek chłopczyka, jedyny syn Kirkpatrick'ów leżał ciężko chory, a matka tonąc we łzach dniem i nocą, nie odstępowała od jego łóżeczka. Tak przeszła noc. Od czasu do czasu jedna z wiernych kobiet służebnych, stawiała w progu drugiej komnaty, popatrzyła na panią i na niankę kłęczące u łóżka i wracała do towarzyszek płacząc i wdychając.

Rankiem słońce weszło jaśniej niż przez dni poprzednie i wśród ciszy zupełnej lekki plusk dał się słyszeć „Łabędzie przyleciały”, pomyślały kobiety i zerwały się do okien, bo z łabędziami otucha wstępowała do serca. Tylko najstarsza służebna nie ruszyła się z miejsca:

— Ho, ho, wprawdzie ma się ku wiosnie, ale jeszcze do niej daleko; jeszcze zimno, to nie łabędzie — rzekła i miała słusność: to wiosłarze przypliwali do zamku wioząc uczonego, zdaleka sprowadzonego lekarza. Lekarz bawił w zamku dni kilka, a potem powiedział, że nic już dla uzdrowienia chorego dziecka uczynić nie umie. Po odjeździe lekarza zająśniało słońce, mały chory chciał wyrzeć na świat. Ożywcze choć ostre górskie powietrze i jasność napęłniły smutną komnatę chorego, jasnością odbijającą się w niebieskawych wodach jeziora. Chłopczyk spojrział na nie, aż nagle radość twarz mu rozjaśniła, poderwał rączki jakby chciał w nie kłaśnąć i zawołał:

— Matko, łabędzie!

Wszyscy upadli na kolana przekonani, że dziecko umrzeć musi po takim nadzwyczajnym wysiłku, a ono uśmiechało się do łabędzi płynących prosto ku tarasowi, tak właśnie jakby na chorego patrzyły. Tak patrzyli na siebie przypominając sobie może zabawy lat upłynionych, aż noc zapadła, noc, której chory miał nie przeżyć, jak sądzili wszyscy. A jednak przeżył. Nazajutrz cichutko prosił, aby mógł iść do łabędzi, i coprędzej korzystając z cudownie pięknego dnia, nasłano futer nad brzegiem jeziora i biednego chorego na nich położono i niemi nakryto. Potem ludzie odeszli, a łabędzie przyszyły do chorego dziecka i długo pozostały tuląc się do niego, aż matka pełna trwogi i nadziei poszła zanieść mu trochę pożywienia, którego już od wielu dni nie przyjmowało. Lękała się czy zastanie je żywym jeszcze, ale dziecko było zwawsze i wesołe nawet, i odtąd codziennie zdrowszem było aż wyzdrowiało zupełnie i na dzielnego, męznego wojownika wyrosło.

Bardzo prawdopodobnie, łabędzie w tym razie przy ciału wcześniej przed zwykłym czasem na jezioro, dla tego, ptasim swym instynktem przeczuły niesłychanie wczes. w owym roku wiosnę, tak, jak to i bociany i dzikie gęsi prze czuwać umieją. Dziecko zaś zapewne wyzdrowiało pod ożywczym wpływem tejże wiosny, zawsze i wszędzie powołującej do życia wszystkie istoty organiczne, a która w cudownym kraju gór i lasów może potężnem swem działaniem istotnie niejednego umierającego do życia przywrócić. Ale nie tak to rozumiały kobiety otaczające dziecinę, one koniecznie upatrywały tu cudowność, utrzymując, że łabędzie szczęście z sobą do zamku przyniosły, i w taki też sposób opowiadały one i ich córki ten wypadek dzieciom a później i wnukom swego pana, tego samego, który był właśnie niegdyś owem chorem i tak niespodzianie uzdrowionem dziećciem.

II.

Takich też gawęd słuchając, wzrastała w dużo lat później jedna z wnuczek owego chorego niegdyś małego Kirk-

patrick'a, Helena. We wspaniałym zamku i wśród licznej służby, smutno przecież płynęło życie dziewczynki, bo matka odumarała ją małą i częste wojny wywoływały z domu ojca a nawet i brata, bardzo jeszcze młodziutkiego, ale który z własnej i z ojca woli, już ćwiczył się przy jego boku w rycerskim rzemiośle. Latem było jeszcze Helenie dobrze bawić się z łabędziami, nieraz godzinami całemi siedziała na murawie tuż u stóp tarasu; zazwyczaj kilka razy dziennie niańka napełniała koszyk różnemi przysmakami i wychodziła nad jezioro; tu rozelałszy futro, aby wilgoć ziemi dziecku nie szkodziła, sadzała je na niem, stawiała koszyk tuż koło Helenki i wróciwszy do zamku siadała w oknie patrząc zdaleka. Łabędzie przybywały natychmiast, wychodziły z wody i przysiadły z obu stron tuląc się do niej, jakby ją ogrzać chciały. Dziewczynka zawsze grzecznie powiadała im najprzód dzieńdobry, potem brała rączkami za długie szyje i całowała w czoło, a nikomu nigdy nie przyszło na myśl, aby ptak miał ją dziobem uderzyć. Potem brała Helenka łakocie z koszyka i uważnie dzieląc na równe części, podawała jedną jednemu, drugą drugiemu ptakowi, a one znów ani myślały same po nie sięgnąć. Niekiedy zdarzało się, że w gorący dzień letni dziewczynka nakarmiwszy łabędzie, wspierała główkę na śnieżnych piórach i zasypiała, a łabędź wtedy ani ruszył się z miejsca żeby dziecku snu nie przerwać, choć jego towarzysz pływał sobie tymczasem w pobliżu, nie oddalając się przecież nigdy.

Takie karmienie odbywało się trzy razy na dzień i stanowiło w lecie główną rozrywkę dziewczynki, ale w zimie nie było łabędzi, Helenka tęskniąc tylko za niemi, słuchała przeróżnych i niewyczerpanych o nich gawęd przy kominię, gdzie się gromadziły domowe kobiety, tuląc pomiędzy sobą małą sierotkę. Tak żyjąc, przyuczana powoli przez wierne otoczenie do zajęć nielicznych, właściwych pani potężnego zamku, wzrastała panienka. W miarę jak rosła, zaczynały łabędzie mniej się z nią pieścić i ona też nie wysiedziałyby po kilka godzin dziennie, bawiąc się z niemi. Przyszło do tego, że kazawszy się przewieźć na łódź, dosiadała tam konia, którego dla niej starzy słudzy wychodowali i wypieścili aby był łagodny, brała mały łuk, którego wyuczono ją używać celnie i puszczała się w lasy z kilkoma ludźmi, którzy wychowali jej ojca, a wieczorem wracała z polowania z łupem do zamku. Zrazu nie miała odwagi zabijać niewinnych stworzeń, ale stary koniuszy rzekł:

— Trzeba się przyuczać, panienko, trzeba serce zahartować, kiedy jesteś na panią zamku zrodzona: a któż wie czy nie przyjdzie ci w życiu bronić samej własnego gniazda pod nieobecność męża, gdy nieprzyjaciół napadnie, jak to nieraz twoje prababki i matka czynić musiały, a cóż będzie gdy ci samej do człowieka zmierzyć przyjdzie we własnej obronie?... Czy pięknie będzie gdy się wtedy rozpłaczesz i łuk ci z rąk wypadnie, tak jak teraz przy celowaniu do tego ptaka?... A wiesz co wtedy cała Szkocya powie? Powie, że „Helena Kirckpatrickówna odrodziła się od przodków swoich.

— Nie! jako żywo, jak Bóg w niebie, nie powiedzą tego o Kirckpatrickównie! — zawołała na to Helena, płomienie uderzyły jej na twarz, zmierzyla, strzała świsnęła i pierwsza w życiu leśna zdobycz do stóp jej upadła. Odtąd polowała zawzięcie, a stary koniuszy i jego towarzysze opowiadali jej przytem, jak to jej matka i babka polowały, jak używały broni. Żona koniuszego, równie jak on niemłoda i jej towarzyszki, opowiadały także Helenie, jak jej matka i babka rządziły domem swoim, a także czasami jak rządziły się inne zacne szlacheckie panie.

Tak to gromadka wiernych podwładnych wychowywała i kształciła sobie panią zamku, niby małą królową, bo wielki pan potężnego zamczyska w Górnej Szkocyi, królem prawie był pod owe czasy.

To też gdy Kirckpatrick rycerski wraz z synem i gromadką towarzyszy, zadzwonił niespodzianie podkowami rumaków u stóp swego zamczyska, osłupiał na widok pięknej a dumnej i pełnej powagi pani zamku, która wyszła na jego przyjęcie, przed ojcem tylko kornie schylając czoło.

— Na mój miecz nieomylny, jestże to naprawdę, moja mała Helenka? — wykrzyknął zdumiony. A wtem przystąpił do niego jeden z najmłodszych towarzyszy i rzekł:

— A skoro tak jest, że zamiast jakiejś nic nieznaczącej dziewczynki znajdujemy tu szlachetną panią zamku, to czyżby niemożna inaczej i krócej urządzić spraw naszych, baronie?

— Co przez to rozumiesz, mój młody towarzyszu? — zapytał ojciec Heleny.

— To, że zamiast odwozić teraz córkę twoję do zamku mojej matki, aby od niej nauczyła się nim rządzić, daj mi ją za żonę nie tracąc czasu, bo król Karol II nie może przecież czekać na swoich rycerzy, gdy walczyć idzie!

— Masz słusność! — przyznał ojciec, i poprowadził przed Helenę pięknego rycerza, którego dla niej wybrał za męża, i spytał czy jej się ten wybór podoba:

— Podoba mi się, ojciec mój — odrzekła z powagą — bo sława tego imienia doleciała już do mnie z pod sztandarów króla Karola! — I wymieniła kilka bitw, w których istotnie odznaczył się młody rycerz, co właśnie zjednało mu względy dumnego pana Kirckpatrick'a.

— Oto odpowiedź godna córki i żony rycerzów! — zawołali wszyscy obecni panowie.

— Dobrze, córko! godna matki twojej — zawołał baron rozpromieniony — zatem dziś obchodzimy zaręczyny, a jutro ślub będzie! Niech żyją narzeczeni!

(d. c. n.)

OPOSSUM — ZEBRA.

Australia wraz z przyległemi sobie wyspami, Nową Gwineją i Tasmanią, posiada wiele bardzo zwierząt, różniących się wybitnie od tych, jakie zamieszkują ląd naszego świata. Tylko tam spotykamy dziobaka, jedyne zwierzę ssące z dziobem, kangura i t. d. Uczeń przypuszczają, że kiedyś, bardzo dawno, Australia stanowiła jedną całość z Azyą; potem jednak oddzieliła się od niej, w skutek czego jej roślinność i zwierzęta nie są podobne do flory i fauny azjatyckiej.

W Australii najliczniej reprezentowane są ssaki, należące do rzędu workowatych, (po łac. *marsupialia*;) zwierzęta te posiadają pod brzuchem torbę, w której noszą swoje potomstwo, dopóki to nie podrośnie i nie może obejść się bez opieki rodzicielskiej. Do workowatych zalicza się kangur i opossum. Zwierzęta te, stoją niżej pod względem swej organizacyi od tych, jakie mieszkają u nas np., gdyż rodzą się niedołożnemi i zginęłyby napewno, gdyby natura nie dała im możności chronienia się przed niebezpieczeństwem do matczynej torby, młode korzystają z niej dopóty, dopóki karmią się mlekiem.

Oprócz wymienionego powyżej kangura i opossum, na wyspie Tasmanii istnieje jeszcze jeden ssak, podobny do wilka i hyeny zarazem, drapieżny i zaopatrzony także w torbę. Zwierzę to nadzwyczaj rzadkie; pragniemy przeto zapoznać z niem bliżej naszych czytelników, tembardziej, iż wskutek swej krwiożerczości, zostanie ono niebawem wytępione zupełnie.

Dawniej znajdowało się ono i na stałym lądzie Australii, osadnicy jednak wyparli je w niedostępne góry lub wyniszczyli, gdyż dziesiątkowało im trzody.

Opossum zebra, (*Thylacinus cynocephalus*) ma fizyognomię wilka, głowę koniczną, uszy stojące, ciało wydłużone; ogon jednak bardziej puszysty niż u wilka, łapy krótsze, futro ciemno brązowe, cieniowane żółtawo; jaśniejsze na brzuchu i przegowane poprzecznie, niby u zebry. Wierzchnia warga ozdobioną jest wąsami dość długimi.

Początkowo osadnicy brali to zwierzę za zwykłego wilka, do którego, jak powiedzieliśmy, zbliża się kształtami.

Opossum zebra nazywają także: wilk-zebra; tygrysem-hyena i t. d.

Zwierzęta te polują na kangury, napastują i pokonywa-

ją jeżozwierze, nie obawiając się ich koleców; znalazłszy się na morskiem wybrzeżu zjadają martwe foki, ryby i ślimaki, wyrzucone przez fale.

Z wprowadzeniem do Australii zwierząt domowych europejskich, opossum zebra mógł łatwo zaspakajać niemi swój głód; zakradał się więc nocami do ogrodzeń dla owiec i do kurników, czyniąc wielkie szkody osadnikom.

Ci ostatni, zmuszeni koniecznością, wydali zażartą wojnę drapieżnikowi; po długich usiłowaniach zdołali wreszcie wyprzeć go w góry, gdzie dziś przebywa w niewielkiej liczbie.

Opossum zebra nie rozmnaża się w niewoli; ażeby do-

śmy już od dwóch lat, zupełnie odmienne zwierzęta i rośliny, wszystko to stanowiło dla nas ciekawą, lecz niesympatyczną nowość. Ojciec nasz, porzuciwszy rodzinny kraj, osiadł po kilkonastomiesięcznej włóczędze, na północ od stolicy południowej Australii, Adelaidy, w prawdziwej pustyni i tutaj twardą pracą dobijać się począł utrzymania dla siebie i dla trzech swych wisusów, którzy prawdę mówiąc, więcej przynosili mu kłopotów, aniżeli pożytku.

Pierwsze kroki były niezmiernie trudne. Zajęliśmy bowiem kawał zyznej, lecz porosłej gęstemi krzakami równiny, graniczącej z obszernymi łąkami, na których ojciec chciał, za-



WIDOK ETNY W CZASIE OSTATNICH WYBUCHÓW.

stać żywy egzemplarz do zoologicznego ogrodu paryzkiego, musiano przedsiębrać długie i utrudzające wyprawy.

Nasza rycina przedstawia to oryginalne zwierzę, należące już do osobliwości.

BUMERANG.

Ze wspomnień australskiego kolonisty

opowiedział **Bohdan.**

Na naszej kolonii budziła się na nowo po krótkiej dżdżystej porze, cała ta dziwna przyroda australiska, do której nie zdążyliśmy jeszcze nawyknać. Mnie i memu bratu Józefowi, nie mogło się dotąd w głowach pomieścić, jakim sposobem grudzień i styczeń w Australii i w całej południowej półkuli, są najgorętszymi miesiącami w roku; brak zimy, Boże Narodzenie bez śniegu i bez choinki, do której tęsknili-

przykładem innych osadników, hodować owce i konie, gdyż tą drogą najprędzej dojść można w Australii do majątku.

Pozbawieni od dzieciństwa czulej opieki matki, musieliśmy radzić samym sobie, a nadto zajmować się w domu gospodarstwem, na równi z dwoma wynajętymi sługami. Było nas trzech: ja, najstarszy, średni imieniem Józef, i młodszy, piętnastoletni dopiero Michałek, ulubieniec ojca.

Przez pierwsze pół roku zrobiliśmy bardzo dużo; w sierpniu zoraliśmy już kilkanaście morgów, ogrodziliśmy drucianym płotem przeszło 1000 na pastwiska i postaviliśmy dom, w którym zagospodarowaliśmy się prawdziwie po europejsku; mieliśmy nawet bibliotekę, złożoną z kilkudziesięciu książek poważnej treści, bo ojciec ani razu nie wracał z miasta bez pokarmu duchowego, jak mawiał.

Zwaliwszy z bark najcięższą robotę, mogliśmy odpocząć nieco po kilkomiesięcznych trudach; do żniw, które w Australii przypadają około Bożego Narodzenia, brakowało jeszcze kawał czasu. Ojciec nasz tedy pozwolił nam wziąć się do biblioteki;



OPOSSUM-ZEBRA.

będąc sam wykształconym, dbał o nasze umysły równie jak jak i o ciało; nie żałował swych krótkich wolnych chwil na udzielenie nam części swej wiedzy.

Trzem takim jak my osłom, którzy na książkę patrzyli, jak na rozrywkę, wpakować do głowy najpotrzebniejsze wiadomości, była to praca nielada.

Nareszcie przypadek zesłał naszemu kochanemu ojcu wyręczyciela.

Pewnego wieczora, do naszej kolonii zajrzał pan Feliks, poczciwy, pięćdziesięcioletni Anglik, który, sterawszy zdrowie

w kopalniach złota, i nie dorobiwszy się niczego, przedzierzgnął się na starość w nauczyciela wędrownego.

Taki nauczyciel na pustkowiu, gdzie jedna kolonia od drugiej leży o kilkanaście wiorst, jest nadzwyczaj pożyteczny; nie przebywa bowiem nigdzie na stałe, lecz przechodzi z miejsca na miejsce, zatrzymując się na kilka miesięcy zimowych tam, gdzie znajdzie kilka pustych głów.

Ojciec z wielką radością przyjął p. Feliksa. Umowa stała odrazu, stary górnik za skromną opłatą zobowiązał się nauczyć nas do żniw rachunków, geografii, gramatyki, czyli

tego wszystkiego, bez czego żaden ucywilizowany człowiek obejść się nie może.

Wiadomości te miały nam zastąpić szkołę, której na nie-szczęście daremnie było szukać w promieniu choćby stu kilometrów od naszej kolonii.

Zaczęła się tedy nauka.

Ja w książce widziałem tylko przyjemność; to też praca p. Feliksa, co do mnie, nie trafiła na grunt jałowy; Michał przykładał się także nieźle; jeden tylko Józef, stanowczo bo-czył się na starego nauczyciela, i przekładał konia lub strzel-bę nad jego wykłady.

Pamiętam, zawsze musieliśmy go szukać do lekcji. Ja wybiegałem na pole, Michał krzyczał po lasku, a często na-daremnie. Braciszek wracał z wycieczki dopiero popołudniu i jakąś marną, niby to nowiną, starał się okupić przed ojcem swój błąd.

— Widziałem kangury w ryżu, proszę ojca — mówił, stawiając w kącie strzelbę: albo: płot druciany nad rzeką był przewrócony, więc musiałem go naprawić i t. p.

Z początku wybiegi takie udawały mu się; nakoniec jednak ojciec poznał się na nich i przestał wierzyć.

— Nie chcę na teraz twojej opieki — rzekł pewnego ra-zu stanowczo; — nie opuszczaj lekcji, bo potem nie zdążysz już powetować straconego czasu; pamiętaj, że pan Feliks do żniw tylko bawi u nas. Gdybyś nie zrobił zadawalniających postępów, nie będziesz mógł wziąć udziału w wycieczce do stryja.

Przy tej sposobności dowiedzieliśmy się, że plan podró-ży, o której ciągle marzyliśmy, nie został zaniechany. Należy tu dodać, że ojciec nasz posiadał brata, kolonistę, równie jak my, który od roku już osiadł nad rzeką, o 100 kilometrów na zachód od nas; z dziećmi jego a naszymi braćmi stry-jecznymi, oddawna już nie widzieliśmy się; wzdychaliśmy więc ciągle, żeby ich odwiedzić. Odległa wycieczka przez górzysty kraj, miała także niepospolity urok w naszych oczach. Łatwo tedy pojąć, że nadzieja tej przyjemnej wizyty, stanowiła dla nas niemal bodziec do pracy.

Ojciec bowiem stanowczo oświadczył zaraz po przybyciu nauczyciela, że weźmie nas z sobą do stryja pod tym tylko warunkiem, jeżeli przejdziemy wskazany z góry program nauk. Sierpień, wrzesień i październik minęły szybko. Mister Feliks doskonale wykładał. Zgodziliśmy się na to, z wyjąt-kiem Józefa, który ciągle powtarzał, iż nic nie może zroz-u-mieć, w czym nie jego wina.

Co prawda, wykręcał się od lekcji po dawnemu; na na-sze przestrogi odpowiadał zwykle:

— Poco mam się śpieszyć! Trzeci egzamin dopiero w listopadzie.

Czuliśmy, że skończy się to źle, lecz nie mogliśmy wpły-nąć na naszego braciszka, żeby zmienił postępowanie.

Tymczasem oznaczony dzień zbliżał się.

Ojciec zapowiedział, że 1 listopada odbędzie się w jego obecności egzamin z dokonanych przez nas postępów, poczem niezwłocznie mieliśmy wyruszyć w drogę.

Mister Feliks przenosił się do sąsiedniej kolonii, gdzie czekali już na niego nowi uczniowie.

Był to pierwszy i ostatni popis mój w naukach. Ojciec zasiadł obok mister Feliksa, i zadawał nam zagadnienia arytmetyczne do rozwiązania, pytania z geografii i temat po-dług którego musieliśmy napisać ćwiczenie bez pomyłek gra-matycznych.

Wszystko odbywało się nadzwyczaj uroczyście. Ja i Mi-chał wywiązałyśmy się, mówiąc bez przechwałek, wcale nieźle. Ojciec pochwalił nas nawet. Józef za to, tak jak spodziewa-liśmy się, odpowiedział najgorzej.

Paryż np. umieścić w Melbournie; o Missisipi powiedział, że leży nad jeziorem Michigan. Kiedy ojciec spojrzał na je-go ćwiczenie, to podniósł brwi tak wysoko, że oba z Michałem o mało nie wybuchnęliśmy śmiechem. Jedne tylko rachunki umiał lepiej od nas, choć prawie wcale się nimi nie zaj-mował.

— Dziękuję, panie Feliksie — rzekł ojciec, ściskając ser-decznie prawicę naszego nauczyciela; — gdyby nie pańska praca, moje dzieci nie umiałyby nawet tego, bo ja, mimo chę-ci, nie mam czasu ich kształcić; sam nadto zapomniałem, czegom się uczył. No — dodał, zwracając się do nas — teraz na was kolej wyrazić swą wdzięczność panu. Dał on wam pokosztować tego, co stanowi największe dobrodziejstwo, co wywyższa człowieka ponad wszystkie żyjące istoty, czyni go niezależnym od przyrody, uczy ją zwalczać. Potęgą tą jest wiedza. Im więcej zdolacie nabyć, tem lepiej dla was i dla całej ludzkości; macie początki, obowiązkiem waszym jest iść dalej. Pamiętajcie zawsze, że tylko dzięki wiedzy, człowiek z barbarzyńcy stał się tem, czem dziś jest, panem świata. Chcę w was widzieć ludzi rozumnych i dzielnych; chcę wie-dzieć, że kiedyś, gdy mnie zabraknie, potraficie dać sobie radę...

To przemówienie wzruszyło nas do łez; ucałowaliśmy ręce skromnego p. Feliksa, podziękowaliśmy ojcu.

(d. c. n.)

Tajemniczy Zamek.

(Dalszy ciąg).

— Panie hrabio — upominał go doktor Patak — gdy-byś pan był nam towarzyszył, Nikonowi i mnie, nie mówił-byś pan tego może!

— Nie zdaje mi się, doktorze — odparł młodzieniec — choćby mnie nawet tak jak pana trzymało coś tak dziwnie za nogi w fosie zamczyska.

— Za nogi, panie hrabio! Tak, za nogi! a raczej za buty! Nie chcesz pan chyba dać do zrozumienia, że w stanie umysłu... w jakim się znajdowałem... mógł to być... sen...

— Nie mam zamiaru nic dawać do zrozumienia, dokto-rze, i nie będę usiłował tłómaczyć to, co się niewytłómaczo-nem wydaje. Bądź pan jednak pewien, że jeżeli żandarmi przyjdą w odwiedziny do zamczyska, buty ich, nawykłe do karności wojskowej, nie wrosną w fosę, jak pańskie.

To powiedziawszy pod adresem doktora, młodzieniec przyjął po raz ostatni pożegnalne hołdy właściciela gospody *Pod królem Matyaszem*, winszującego sobie zaszczytu iż jasnie wielmożny hrabia gościł pod jego dachem... i t. d... Po-żegnawszy uściskiem ręki imci pana Kolca, Nikona Deck, je-go narzeczoną, oraz zgromadzonych na placu mieszkańców dał znak Rockowi, poczem obaj dobrym krokiem puścili się drogą ku wąwozowi.

W niespełna godzinę hrabia Franciszek i Rocko stanęli na prawym brzegu rzeki, w której kierunku szli odtąd, okrą-żając południowe stoki Retyezatu.

Rocko pogodziwszy się z losem, nie czynił już żadnych uwag swemu panu, wiedział zresztą, że byłoby to straconym trudem. Zresztą, do służbistości wojskowej przywykli, wie-dział, że choćby się nawet obaj znaleźli w niebezpieczeństwie, potrafi je od swego pana odwrócić.

Po dwugodzinnym marszu, zatrzymali się obaj ażeby odpocząć przez chwilę.

W miejscu tem Syl wołoska, lekko przedtem zbaczają-ca na prawo, teraz kanciastym prawie zakretem zbliżała się do drogi, a o milę stamtąd niespełna, na pochyłości Plesy, leżało płaskowzgórze Orgallu. Należało więc zmienić kieru-nek i nie pójść dalej z brzegiem rzeki, skoro Franciszek trwał w zamiarze skierowania się ku zamczysku.

Chcąc uniknąć powtórnego przechodzenia przez wieś, znacznie nałożyli drogi, w dwójnasób prawie powiększając odległość, jaka wieś od zamczyska dzieliła. Pomimo to, przed wieczorem jeszcze spodziewali się stanąć na płaskowzgórzu: będzie miał więc młody hrabia dosyć czasu do obejrzenia zam-ku z zewnątrz. Jeżeliby zaś odłożył do wieczora spuszczenie

się z góry drogą wiodącą do Werstu, mógł mieć pewność, że niczyje go tam oko nie wysledzi, a zatem nikt o wycieczce jego wiedzieć nie będzie.

Przenocować miał zamiar w Liwadzel, mieście położonej na spływie obu Syl, a nazajutrz rano udać się do Karlsburga.

Wypoczywali całe pół godziny. Franciszek, cały we wspomnieniach pogrążony, wzburzony przytem myślą, że baron na Gorcu ukrywa może swoje istnienie w murach ustronnego zamku, nie przerwał milczenia ani razu. Biedny Rocko musiał bardzo umieć panować nad sobą, ażeby mu nie powiedzieć:

— Panie mój, poco my mamy iść dalej? Odwróćmy się tyłem do tego zamczyska przekłętą i odejźmy stąd!

Poczęli iść doliną, a właściwie łożyskiem, które sobie podczas wylewów utorowała rzeka. Zarastały je gąszcze krzewów, nie przerzniętych żadną ścieżką, miejscami natrafiali na grunt niebezpiecznie grząski, co ma się rozumieć utrudniało im pochód i pociągało za sobą niejakie opóźnienie. Całej godziny potrzeba im było na dostanie się na drogę wozową, którą dopiero około piątej przebyli.

Prawy stok Plesy nie jest najeżony tą gęstwiną leśną, w której Niko Deck toporem drogę sobie torować musiał; przyszło jednak podróżnym liczyć się z trudnościami innego rodzaju. Trafili na tak zwane *moreny*, na rumowiska głazów, pomiędzy którymi nie mogli przechodzić inaczej jak zachowując największe ostrożności, na niespodzianie otwierające się pod ich nogami głębokie rozpadliny, na głazy chwiejące się na swojej podstawie, na rozległe pole usypane sterczącymi kamieniami, które lawina jakaś zapewne ze szczytów górskich tu przyniosła i w chaotycznym nieładzie jedne na drugie zwała.

Wspinanie się na stromą dosyć górę w tak uciążliwych warunkach wymagało z godziny przynajmniej czasu i srodze zmęczyło podróżnych. Doprawdy, zdawać się mogło, że zamczysko broni się od najścia niewtajemniczonych samą niedostępnością swego położenia, i były chwile, w których Rocko łudził się nadzieją, że napotkają na drodze przeszkody nie do przebycia. Nadzieja ta wszakże okazała się niestety! zawodną.

Minąwszy strefę rumowisk i rozpadlin, dotarli nareszcie podróżni na wierzchołek, płaskowzgórzem Orgallu uwieńczony.

Na czystem tle nieba rysowały się potężne mury zamczyska, które od tak dawna postrach rozsiewało w całej okolicy.

Przedewszystkiem zapamiętać tu należy, że hrabia Franciszek i Rocko zbliżali się do zamku od strony północnej, mieli zatem przed sobą ścianę jego poprzeczną, podczas gdy doktor Patak i Niko przybywali od strony wschodniej. Mur obwodowy załamywał się tu pod kątem niezmiernie rozwartym i dźwigał na szczycie swoim główną basztę, do której zresztą nie było z tej strony żadnego dostępu: ani furtki, ani nawet zwodzonego mostu, mur zaś obwodowy zniżał się, to w górę wznosił, stosownie do nie wszędzie równego poziomu płaskowzgórza, które mu służyło za podstawę.

Mało jednak zależało na tem hrabiemu, czy jest lub nie wejście do zamku z tej strony, nie miał bowiem bynajmniej zamiaru dostawać się do wnętrza budowli.

Pół do ósmej już było, gdy Franciszek Telek i Rocko wstąpili na krawędź płaskowzgórza. Przed nimi mury gmachu, ciemną barwą niewiele się różniące od barwy skał otaczających, na lewo załam muru dźwigającego narożną basztę. Z poza niej wyglądały powykrzywiane gałęzie starego buku, wykrzywieniem swoim świadczące o gwałtowności południowo-zachodnich wiatrów wiejących na tej wysokości.

W samej rzeczy, nie mylił się w rachubie swojej pasterz Fryk. Jeżeli można było wiarę pokładać w podaniu, to stare zamczysko baronów na Gorcu miało już przed sobą trzy lata tylko istnienia.

Franciszek przypatrywał się w milczeniu olbrzymiej budowli, nad którą górowała przysadzista baszta środkowa.

Tam zapewne — myślał — w tej masie spiętrzonych murów, znajdujące się muszą sklepione, rozległe, echami rozbrzmiewające sale, długie, kręte korytarze, kryjówki we wnętrznościach ziemi zagrzebane, podobne do tych, które widywać można w warownych zamkach starych Madziarów. Stare, ponure to zamczysko najwłaściwszą było siedzibą dla ostatniego potomka rodu Gorców, zwłaszcza gdy tenże pragnął pogrążyć się w zapomnieniu i nieprzeniknioną otoczyć się tajemnicą. Im dłużej bowiem myślał nad tem młody hrabia, tem silniej czuł się przekonany, że baron Rudolf na Gorcu szukać musiał schronienia, w samotni obronnych murów górskiego zamczyska.

Nic zresztą nie zdradzało obecności jakiegobądź istot zamieszkujących starożytne zamku komnaty; z żadnego komina nie unosił się najłżejszy chociażby obłoczek dymu, z za hermetycznie zamkniętych okien nie dochodził najśłabszy odgłos, nic nie mąciło spokoju i tajemniczej ciszy otaczającej ponurą siedzibę.

Przez dość długą chwilę, ciekawie obejmował Franciszek wzrokiem to miejsce, dziś pustką stojące, niegdyś brzmiące hałasem uczt i szczękiem broni, milczał jednak z sercem wzbranem wspomnieniami, otoczony rojem przykrych i ciężkich myśli.

Rocko, szanując bolesne milczenie młodego pana, trzymał się na uboczu, nie śmiejąc przerywać mu biegu myśli żadną uwagą lub spostrzeżeniem. Ale gdy słońce zapadło za Plesę a dolina obu Syl zaczęła się cieniem napełniać, Rocko zbliżył się bez wahania.

— Panie mój — odezwał się — wieczór nadchodzi. Już blisko ósmej.

Franciszek zdawał się go nie słyszeć.

— Czas nam w drogę — podjął znów Rocko — jeżeli chcemy dojść do Liwadzel zanim pozamykają wszystkie gospody.

— Za chwilę, Rocko... za chwilę... Zaraz pójdziemy — odrzekł hrabia Franciszek.

— Trzeba nam będzie z godzinę czasu na przebycie wozu, a ponieważ za godzinę ściemni się już zupełnie, nie potrzebujemy się obawiać, aby nas kto zobaczył.

— Jeszcze parę minut, Rocko, a wyruszymy z powrotem.

Ale mówiąc to, młody hrabia stał nieruchomie na tem samem miejscu, na którym się zatrzymał, wstąpiwszy na płaskowzgórze Orgallu.

— Paniczu mój, nie zapominajcie — nalegał Rocko — że trudno nam będzie iść pomiędzy skałami pociemku. Ledwośmy przeszli tamtędy, w biały dzień idąc. Niech się pan nie gniewa, że nalegam... Konieczne iść nam już trzeba.

— Idziemy Rocko, zaraz... Idziemy...

Zdawało się, że młodzieńca trzyma coś przed temi murami. Kto wie? Trzymało go może przecucie, jedno z tych, z których człowiek sprawy sobie nie zdaje. A może naprawdę przykutym się czuł do ziemi, jak doktor Patak na dnie fosy? Nie! nogi zupełnie miał wolne, poruszać się mógł, chodzić nawet. Gdyby chciał nieby mu nie przeszkodziło obejść mur obwodowy w koło i wdrapać się do furtki po szkarpie.

Kto wie czy tego uczynić nie chciał?

Przypuszczał to nawet Rocko, bo odważył się raz jeszcze przypomnieć.

— Cóż, proszę pana, idziemy?

— Zaraz... zaraz... — odpowiadał Franciszek.

Ale nie ruszał się z miejsca.

Na płaskowzgórzu ciemno już było zupełnie. Cień otaczających gór, padając na mury zamku, zakrywał sobą ich rozmiary, tak że gmach cały tonąc w mroku, przedstawiał jedną, nie przebitą masę ciemności. Za chwilę ciemność ta przejdzie w zupełną czarność, jeżeli z wąskich okien narożnej wieży nie błysnie żadne światło.

— Chodźmy już, panie, chodźmy — powtarzał Rocko. I miał już Franciszek iść za nim, gdy na platformie

baszty, tam właśnie gdzie rósł ów buk podaniowy, zarysowała się niewyraźnie postać jakaś.

Zatrzymał się więc Franciszek, wzrok utkwivszy w tę postać, teraz już wyraźniej występującą.

Była to kobieta, z rozpuszczonemi włosami, z wyciągniętymi rękoma, owinięta w długą szatę białą.

(d. c. n.)

ROZMAITOŚCI.

Niema rzeczy tak małej, któraby jednak nie miała swojej wartości. Gałganki, skrawki, obrzynki wszelkiego rodzaju zdają się być niczem, a jednak kilo gałganków płaci się 50 centymów. Ze zaś każdy mieszkaniec Francji dostarcza rocznie w przecięciu 8 kilo gałganków, Francya zaś ma 36,000,000 mieszkańców, otrzymujemy zatem poważną cyfrę 288,000,000 kilo, wartości 144,000,000 franków.

Co nocy wyrzucają Paryżanie na ulicę za 50,000 fr. samych gałganów, które pozbierane i rozgatunkowane przez gałganiarzy, przynoszą im 18,000.000 rocznie. Dodać tu jeszcze należy, że Paryż ma 50,000 gałganiarzy, że w całej Francji jest ich 330,000 i że cyfry powyższe wyjęte są z raportu złożonego Izbie deputowanych w kwestyi dochodu, jaki we Francyi przynoszą gałganki.

Pan Ekroll, Norwegczyk, zbudował sanie, które dadzą się przekształcić na statek. Zamierza on na nich podjąć wyprawę podbiegunową, w której przyjąłoby udział sześciu tylko uczestników, a do zaprzęgu użyte mają być psy. Ponieważ podróżnicy mogliby się posuwać bądź po wodzie, bądź po lądach, wyprawa byłaby niezawisłą od wiatrów i stanu pogody. Wyprawa udać się ma najpierw okrętem na brzeg wschodni Szpicbergu, do okolic przylądka Mohna, skąd w czerwcu 1893 roku pan Ekroll zamierza przeprowadzić ją na ziemię Petermana; spodziewa się, że na północ tej wyspy napotka ląd dosyć zbity, po którym dotrzeć zdoła wprost do bieguna. Według przypuszczenia projektodawcy, zdoła on drogę tę przebyć w ciągu 226 dni, przebiegając 11 kilometrów dziennie. Powodzenie jednak zależeć będzie od natężenia i kierunku wiatrów, jako też i od stanu lodów.

HOMONIM.

Gdy w letnie skwary wycieczki robicie
Spragnieni chłodu, ciszy i zieleni
To do mnie zawsze chętnie podążycie,
Chociażem mała wśród leśnych przestrzeni.
Więc podwieczorki i zabawy różne
W gronie dorosłych i dzieci widziałam,
A nigdy chęci ich nie były próżne,
Bo pochwał różnych słowa usłyszałam. —
A jeśli znowu dla nauki dobra
Zielnik swój mały powiększyć zechcecie
To pól i lasów Flora nasza szczodra

I mnie wam odda, gdy mię zapragniecie.
Postać ma skromna i nieokazała —
By mię odszukać, wnet wskażę wam drogę:
Pontyjskiej nazwę nauka mi dała,
A pokrewieństwem mem szczyścić się mogę.

NITECZKA ARYADNY.

Jaskółka.

Gdyć	zyk	zło	wy	nę	na	pa	go
ję	śli	mo	ci	wsze	mię	je	bliż
wy	ob	miej	za	ci	two	nie	kę
do	bo	kę	nie	ku	go	bel	ze
ską	u	szu	w o	ra	pierw	swe	sne
na	kaj	zdźbła	czej	wyjm	go	wła	go

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35-go.

Łamigłównki zgłoszkowej:

1. UIM. — 2. JenA. — 3. EgeR. — 4. JunonA. — 5. SereT.
6. KołO. — 7. IndostaN.

Ujejski — Maraton.

Zadania konikowego:

Z żarty jak ze solą
Nie przesadz bo bolą.

Sprostowanie: z powodu pomyłki drukarskiej powtórnie umieszczamy Szaradę z Nru. 36.

Pierwsze jest częścią mowy, odwrotnie czytane;
Drugie, czwarte, z greckiego miana tak nazwane
Drukarskie czcionki, pierwowzory, znaki;
Trzecie, drugie wysoko niosą chyże ptaki.
Wszystko w Afryce, w odmianach mnogich,
Rodzaj łagodnych zwierząt ssących,
Lekkich w biegu; należących
Do rodziny pustorogich.

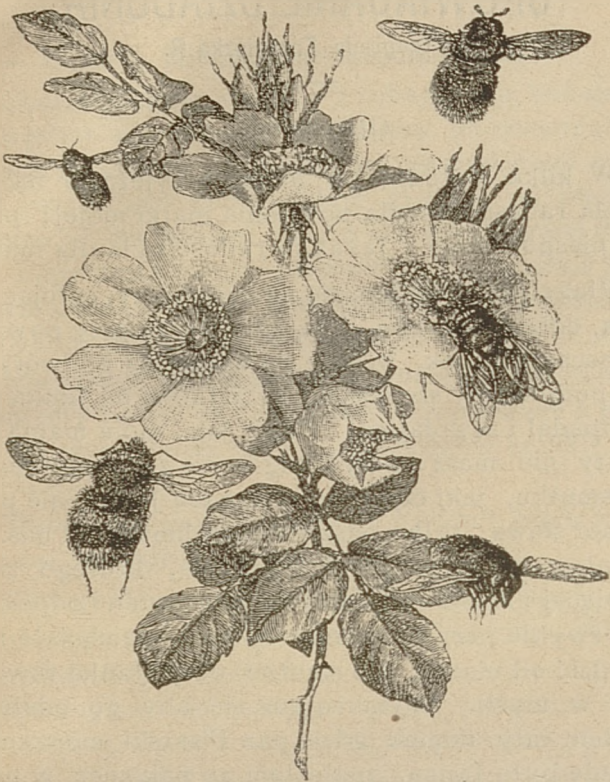
PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

TREŚĆ: Kokos seszelski (z drzew.) — Słoneczko, wiersz p. T. P. — Legenda szkocka. — Opossum - Zebra (z drzew.) — Widok Etny w czasie ostatnich wybuchów (z drzeworyt). — Bumerang, ze wspomnień australskiego kolonisty, opowiedział Bohdan. — Tajemniczy zamek. — Rozmaitości. — Łamigłównki i rozwiązania. — Dodatek: Piosnka pszczołki, wiersz p. T. P. (z drzew.) — Monety dzikich ludów (z drzew.) — Odważny sternik p. Henryka Wernica. — Opowiadanie dziadunia, przepisała Franciszka R. (dokończenie). — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: W krainie Gwebrow, Andrzeja Laurie, przekład T. P.

WIECZORY RODZINNE.

MONETY DZIKICH LUDÓW.



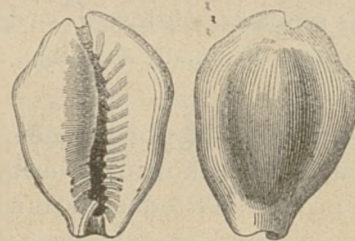
PIOSNKA PSZCZÓŁKI.

Ledwie wiosną błysnie słońce
Promień złoty,
Już się budzę, już ja lecę
Do roboty.
Krążę, fruвам, zbieram wszędzie
Słodkie miody,
Żeby w zimie żyć czem miały
Pszczoł narody.
Wszystkich kwiatów znam kielichy,
Marna pszczołka:
Od wspaniałej, wonnej róży
Do fijołka.
Znam jaśminy i lilije
Bielusieńkie
I lip kwiecia znam perełki,
Te maleńkie,
Co rzucają na obszary
Słodkie wonie,
Wiem, koniczyn łąn szkarłatny
W której stronie..
Ledwie słonko błysnie wiosną
Ja już w drodze,
Wam codzienną, ludzie, strawę
Pracą słodzę;
Pracą żywję nieustanną
Pszczoł narody
Krążę, fruвам, zbieram wszędzie
Wonne miody.

T. P.

W północnej Ameryce żyją dotąd nieliczne plemiona Indian, ludzi koczujących, którzy nie mają stałych miejsc zamieszkania, lecz przenoszą się z miejsca na miejsce wraz z całym swym dobytkiem, i którzy żywią się głównie mięsem upolowanych zwierząt. Skóra ich ma kolor miedzi i dlatego nazywamy ich czerwonoskórami. Indianie amerykańscy nie znają naszych pieniędzy, a jeśli chcą kupić jakiś przedmiot, płacą monetą, która dla nas Europejczyków nie miała żadnej wartości; płacą np. muszlami małymi i dużymi, albo też oddają skóry upolowanych zwierząt za szklane paciorki niebieskie, czerwone, zielone, a im paciorki są jaskrawsze, tem więcej podobają się tym dzikim ludom.

Podajemy na jednej rycinie obraz muszli bardzo cenionej przez Indian, a na drugiej rząd paciorków malowanych, za które znowu afrykańscy murzyni oddają Europejczykom złoty piasek. W Afryce bowiem także i w Australii mieszkańcy naszych pieniędzy nie znają, i nic w tem niema dziwnego; do wyrobu nawet małego pieniążka trzeba maszyn odpowiednich, a dzicy ludzie żadnych maszyn nie znają.



Musze używane jako moneta.

W Australii bardzo są cenione czerwone pióra, które głowy i szyje przystrajają australczycy, zamieniając między sobą pióra na muszle, lub na czerwoną glinę, zwaną obrą, którą pocierają sobie ciało lub też malują je w różne desenie.

Bardzo też chętnie przyjmują jako zapłatę krzesiwa



Paciorki używane jako moneta.

i wszelkie błyszczące kamyki, naprzykład kamienie słoneczne. Gdybyśmy dali Indyaninowi papierowego rubla lub guldena, rzuciłby taki pieniądz, jako dla niego zupełnie nieużyteczny; za to sznur czerwonych paciorek sprawiłby mu wielką radość.

A. M.

ODWAŻNY STERNIK.

(Zdarzenie prawdziwe).

— Kapitanie! — zawołał sternik — czuję swąd przenikliwy, musi się tu coś palić. Wszędzie szukałem, lecz nie znalazłem nigdzie śladu pożaru.

Kapitan obejrzał się naokoło, badawczo wciągając powietrze, ale nic nie mógł wyrzec stanowczego, bo raz zdawało mu się, że nie czuje żadnej spalenizny, to znów, że dym gryzie go w oczy, a on nie może wskazać skąd się wydobywa. Przetrasnął cały okręt, na próżno! Nigdzie najmniejszego śladu pożaru. Tymczasem dym coraz bardziej począł napełniać cały okręt, za nadejściem nocy woń spalenizny przeniknęła wszystkie kajuty. Nikt już nie wątpi, że okręt gore. Kapitan podchodzi do sternika: wiem gdzie się pali — rzece — obejrzej się, czy nie widzisz płomieni wydobywających się z podłogi, obok koła przy którym stoisz?

— Trzeba przybić do brzegu — woła sternik z przeżenieniem, pojmując wielkość niebezpieczeństwa i chwytając za koło sterowe, a gorące zanosząc modły do Boga, kieruje okręt ku wybrzeżu.

— Boże! — szeptał półgłosem — dozwól mi spełnić mój obowiązek. Polecam ci moją żonę i drobne dzieci!...

Parowiec sunie ku brzegowi pędem strzały. Cała załoga jest w ruchu, majtkowie polewają wodą tylną część okrętu. Na próżno! Płomienie tłumione w jednym miejscu, z większą w drugim wybuchają gwałtownością. Każdy myśli o własnym ratunku, jeden tylko sternik zajęty ocaleniem drugich. Nie zważa on na duszący dym, na palącą się pod jego stopami podłogę, nie ustępuje z miejsca na którym obowiązek pozostać mu nakazuje. Wie, że od niego zależy życie 80 ludzi. Zda się, że nic nie widzi co się koło niego dzieje. Dusza jego skupiła się w oczach. Mierzy wzrokiem coraz to zmniejszającą się przestrzeń, jaka go oddziela od brzegu, nie zmordowaną ręką kieruje statek do lądu.

Nadbrzeżni mieszkańcy ujrzawszy płonący okręt, biegną z zapalonymi pochodniami, aby wskazać miejsce najdogodniejsze do wylądowania. Sternik rozumie te znaki, czuje, że płomienie ogarnia jego obuwie, ale nie schodzi z posterunku, aż przybiwszy do brzegu. Wszyscy wyszli z okrętu, jednego tylko sternika wynieść musiano, bo dla strasznego oparzenia chodzić nie mógł. Odzież spadła z niego jak próchno!

Po upływie kilku tygodni sternik powstał z łoża, ale nigdy bez podpory kul chodzić już nie mógł. Kalece niepodobna już było wyżywić rodziny. Ale Bóg nie zapomniał o odważnym człowieku, który spełnił swój

obowiązek: obudził współczucie dla niego w sercach dobrych ludzi, którzy zapewnili mu los, również jak i jego rodzinie.

Henryk Wernic.

OPOWIADANIE DZIADUNIA.

Przepisała Franciszka R.

(Dokończenie).

W kilka tygodni po moim przyjeździe na wieś, przysłała radosna chwila powitania matki mojej; przyjechała niespodzianie. Jakaż to radość była dla mnie!

Płakałem i śmiałem się na przemiany, całując moją piękną, dobrą mamusię. Zdarzyło się, że przy powitaniu był obecnym Janek, bośmy się wtedy na podwórku bawili; podniecony szczęściem spojrzałem na Janka stojącego opodal i zawołałem: Patrz, jaka moja mama śliczna, a ty nie masz mamy! Nigdy nie zapomnę bezmiernego smutku, jaki odbił się w oczach Janka, nie powiedział ani słowa, tylko odszedł natychmiast od nas. Pożałowałem zaraz mego powiedzenia, którego zresztą nikt więcej nie zauważył w gwarze zapytań i odpowiedzi, jak to zwykle przy powitaniu bywa. Nie chciało mi się odchodzić od mamy, ale smutne oczy Janka tkwiły mi ciągle w myśli. Wymknąłem się aby go odszukać... obiegłem cały domek gdzie pan Pisarski mieszkał, nigdzie nie było Janka, znalazłem go nakoniec w ustronnym kąciку ogródka: siedział na ławeczce płacząc rzewnie. Pochwyciłem go w ramiona, całowałem, nie miałem dość słów aby go przeprosić. Janek ucałował mnie serdecznie i starając się uśmiechnąć, żartował ze swego mazgajstwa; ale na moją prośbę aby ze mną poszedł do dworu, wymówił się bólem głowy i koniecznością dopilnowania koni przy pojeniu i dawaniu obroku. Odszedłem i po kilku dniach zapomniałem o całym tem przejściu.

W następną niedzielę ułożoną została wycieczka do Bochohnicy, mieliśmy jeść obiad w zwaliskach Kazimierzowego Pałacu. Ponieważ najpiękniejsza droga prowadziła wąwozem, a powóz nie mógł przejechać tamte dy, postanowiono zabrać się na wóz. Pyszna to jazda takim wozem wysłanym sianem i kobiercami.

Wujostwo zabrali także Janka; umieściliśmy się obydwaj koło woźnicy, ja miałem dostać lejce na równej drodze. Szalałem z radości. Lubilem wszystkie wycieczki, a ta zapowiadała się rozkosznie. Dzień był prześliczny; wietrzyk łagodził upalne promienie słońca, pola złociły się dojrzałym już żytem lub zieleniły owcami i jęczmieniem, tam znów niebiescił się len, pasem długim rozkwitły; grunt falisty odsłaniał coraz nowe widoki, a w dali ukazywały się ruiny na wyniosłym wzgórzu. Znudziło mi się na wozie, który musiał posuwać się po małym nierównej i górzystej drodze, poprosiłem żeby mi dozwolono iść piechotą; mama i wujenka wołały także przejść się, więc wysiedliśmy wszyscy i szliśmy skrajem lasu, zbierając po drodze jagody lub kwiaty. Na polance, ocienionej z jednej strony dębami, siedliśmy

wypocząć, ale po chwili pociągnąłem Janka na przyległą łąkę na kwiaty; rwałem je całemi garściami i posuwając się coraz dalej nie zauważyłem, że straciłem z oczów nasze towarzystwo a i Janek zatrzymał się gdzieś na ubo-
czu. Mając już pełne ręce kwiatów chciałem ułożyć bu-
kiet dla mamy, siadłem w trawie i rozpocząłem robotę,
gdy usłyszałem jakiś głuchy tentent i jednocześnie krzyk
Janka:

— Uciekaj, Mieczku! uciekaj na prawo...

Obejrzałem się w około i zobaczyłem buhaja leca-
cego wprost na mnie... Widziałem go doskonale, jak
ze spuszczonego łbem, z groźnie nastawionemi rogami,
biegł porykując. Zrozumiałem grożące mi niebezpie-
czeństwo... wiedziałem, że on mię temi rogami poszar-
pie... kopytami stratuje; zdawało mi się, że czuję już ból
w całym ciele... zimny pot oblał mi czoło, jakieś czer-
wone płatki zamigotały w oczach...

Nie straciłem zupełnie świadomości, a jednak nie
miałem siły ruszyć się z miejsca, odrętwiałem z przera-
żenia i przymknąłem oczy... Słyszałem krzyki, nawo-
ływania...

Wtem ktoś mię pochwycił i począł biedz szybko,
a za nami tętniało... coraz bliżej... bliżej.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że to Janek dzwiga
mnie i biegnie z nieporównaną szybkością. Nie wiem
skąd wzięła mu się ta siła!

Dobiegłszy do jakiegoś płotu, przerzucił mię na
drugą stronę, ale sam nie zdołał już przeskoczyć...

Buhaj dopadł go, pochwycił na rogi, podrzucił jak
piłkę i chrapiąc straszliwie deptał go nogami i tacał...
Zdawało mi się, że to wieki trwało...

Nakoniec ludzie nadbiegli z powrozami i drągami;
po chwili udało się im pochwycić i obezwładnić rozwście-
czone zwierzę. Mój biedny Janek leżał pokrwawiony...
bez życia! Dziadunio zamilkł, wzruszenie zatamowało mu
głos, siła wspomnienia strasznego przejścia musiała być
wielką. Dzieci wpatrzone w dziadka, zasluchane, nie ru-
szały się, a po twarzyczce Julinki biegły łzy perliste. Po
chwili milczenia dziadunio mówił dalej:

Przybiegli zdyszani wujostwo i mama i służba; wi-
dzieli oni wszystko, zanim zdążyli zapobiedz nieszczęściu.
Zakrzętnęli się około Janka... żył jeszcze, ale ocucony
z zemdlenia, otworzył nieprzytomne oczy i zamknął je
znow, popadając w odrętwienie. Zrobiono naprędce no-
sze i zaniecono nieszczęśliwego Janka do młynarza, któ-
ry miał wiatrak w pobliżu. Wujostwo posłali po le-
karza.

Mama i wujenka urządziły posłanie i obmyły rany,
a ja płakałem tylko, nieradny, bezsilny...

Janek w gorączce szeptał:—mamo, mamo!—a mnie
serce ścisnęło się coraz większym żalem. Przypomnia-
łem sobie, jak nieraz byłem szorstki, jak raniłem go swo-
ją pychą, jak nie umiałem uszanować jego sieroctwa...
a on dla mnie naraził życie bez wahania... może je
straci...

Uczułem jakim ja małym i marnym jestem w poró-
wnaniu z tym skromnym, ubogim Jankiem!

Wypowiadałem się przed mamą ze wszystkich win

moich, a ona, ucałowawszy rozpalone czoło tego boha-
tera, przyrzekła, że mu matką będzie.

— Módl się synu — mówiła — proś Boga aby za-
chowwał Janka przy życiu, a postaramy się miłością za-
płacić mu za cierpienie.

Wierzyłem, że mateczka dotrzyma słowa i modli-
łem się gorąco do Tego, w którego ręku było teraz ży-
cie Janka. Przybyły lekarz uznał, że rany nie są groźne,
lecz zapalenie mózgu rozwinęło się z powodu wstrząśnie-
nia. Nazajutrz przewieźliśmy naszego chorego w powo-
zie wysłanym poduszkami, powolutku do Woli.

Tam mama i wujenka otoczyły go macierzyńską
opieką a ja nie odstępowałem prawie od jego łóżka.

W tej chwili weszła do pokoju pani Rowieńska,
matka naszej trójki i przywitawszy się z ojcem, prosiła,
aby jeżeli może, opowiadał dalej.

— Ale on wyzdrowiał, dziadunio? — wtrąciła Ju-
linka.

— Wyzdrowiał, moje dzieci, zapalenie mózgu prze-
siliło się, ale osłabienie trwało długo. Dopiero w parę
tygodni mogłem powiedzieć Jankowi o tem, że nie roz-
łączymy się już nigdy, że moi rodzice, będą jego rodzi-
cami.

— Co dalej, dziadunio mój drogi? — prosił Ka-
rolek.

Dziadunio ciągnął dalej:

— Matka musiała wcześniej powrócić do Warsza-
wy, a ja zostałem do jesieni, bo i Janek potrzebował
wzmocnienia. Pokochałem Janka bardzo i przez niego
uleczyłem się na zawsze z pychy. Zapamiętałem dobrze,
iż dostatek i trochę więcej nauki nie stanowią jeszcze
istotnej wartości człowieka; że mężne zaparcie się siebie
nie jest wyłącznym przywilejem ludzi pięknie odzianych.

Karolek przysunął się do dziadunia i w milczeniu
ucałował jego rękę; było to niby nieme przyrzeczenie.

— Nie przeszkadzaj, Karolku, proszę... dziadunio
jeszcze mówi — nalegała Julinka.

— Gdy w jesieni przyjechaliśmy razem do War-
szawy, kochani rodzice powitali Janka jak drugiego sy-
na. Uczyliśmy się razem i Janek dorównał mi prędko
w nauce, często nawet pomagał w odrabianiu zadań, bo
był pilniejszy odemnie. Na wakacje jeździliśmy do Woli
i mama z siostrzyczkami memi przepędzały tam także
lato. Jak nam było dobrze razem; tylko żał nam było
ojca, który zaledwie na krótko przyjeżdżał.

— A w Bochothnicy bywał potem dziadzio? — py-
tała Julinka.

— Bywaliśmy tam nieraz, ciesząc się cudownym
widokiem ze zwalisk zamku i wspominając zawsze, że ta
pierwsza wycieczka wpłynęła bardzo na mój charakter
i dała mi brata ukochanego.

— Pan Jan był potem na wsi, prawda dziadunio —
odezwał się Władek.

— Tak. Po skończeniu szkół ja poszedłem na me-
dycynę, a Janek uczył się agronomii. Potem, chociaż
rodzice chcieli mu dać pieniądze na zapłacenie dzierża-
wy, on ich nie przyjął, tylko objął zarząd Kazimierzowej
Woli i dopiero po kilku latach pracy zaoszczędził tyle,
że mógł wziąć dzierżawę, na której utrzymuje się dotych-

czas. Pracuje ciągle pomimo lat sędziwych i jest szanowany przez wszystkich, a włościannie kochają go jak ojca.

— A któżby nie kochał pana Jana — dorzucił pan Rowieński, wchodząc właśnie do pokoju; — słyszałem, ojciec kochany, z drugiego pokoju koniec opowiadania, i nie chciałem przerywać. Teraz podziękujmy dzieci razem dziaduniowi — dodał jeszcze, całując ręce sędziwego gościa.

Dziatwa całowała dziadunia, a Julinka zarzuciwszy mu rączki na szyję, mówiła:

— Nie zapomnę nigdy, dziaduniu, że trzeba być dobrą dla wszystkich.

Tymczasem Karolek wymknąwszy się z pokoju, powrócił w towarzystwie dwojga miłych dzieci. Jasnowłosa Janka była w wieku Julinki a Bronek był rówieśnikiem Władka. Powitanie było serdeczne i zabawa przez cały wieczór była bardzo ożywioną, chociaż inne dzieci nie przyszły i na dworze szaruga trwała nieustannie.

Od tego czasu Bronek i Janka przychodzili często do pp. Rowieńskich; Bronek uczył się razem z Władkiem a między Julinką i Janką była wielka przyjaźń, z czego cieszyła się najwięcej matka Janki, uboga wdowa, która mieszkając w tymże domu, szcieniem zarabiała na życie.

SZARADA.

dla Komety od Pokrzywy wołyń. z nad Horynki.

*Pierwsze i drugie, to zięć Mahometa,
Przymkiem trzecie znów nauka zowie;
Łatwo zaś wszystko odgadnie Kometa
Gdy myśleć trochę rozkaże swej głowie;
A trudu wiele jej to nie przysporzy,
Gdyż całość, znane, żeńskie imię tworzy.*

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

ułożył Cz. B.

Z następujących sylab: Ud — lon — ne — dyn — i — a — rif — ptak — u — fa — nas — le — te — ułożyć wyrazy:
1. Wyspa kanaryjska. 2. Rzeka w Syberii wschodniej.
3. Miasto w Anglii. 4. Dwie samogłoski. 5. Zwierzę z gromady kręgowych, ciepłokrwistych, zajmujące stanowisko pośrednie między gadami a ssąciami. 6. Spójnik lub trunek. 7. Zaimek osobowy w liczbie mnogiej, 2-gi prz. Pierwsze litery tych wyrazów czytane z góry na dół powinny utworzyć pseudonym korespondenta W. R. lub roślinę z rodziny liliowatych, biorącą swą nazwę z podobieństwa do tureckiego ubrania głowy; końcowe zaś w przeciwnym kierunku także pseudonym, lub nazwę części na które jest podzieloną minuta.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 35-go

Zagadki: Klucz.

Zadania konikowego:

Kto doje, dopije,
Ten w rozum nie tyje.

Skrzynka do listów.

Kochana **Różowa kokardko**, kto ma dopiero lat 9, ten może nie umieć jeszcze krajać. Cieszymy się bardzo, że paluszek nie został skaleczony przy robocie, więcej jednak cieszy nas jeszcze gotowość skaleczenia paluszka w interesie ubogich dzieci, poparta uwagą, że ranka „prędko się zgoi, lecz rany w serduszkach sierot nie prędko.” Nad taką pocztową sierotką Mamusia znać czuwa z nieba!

Cz. Bas. wielką nam sprawił przyjemność odezwaniem się po tak długim milczeniu. Czy egzamina dobrze poszły? Zadanie konikowe źle ułożone, konik bowiem zupełnie inaczej skacze, co wytłómaczy każdy, jako tako obeznany z grą w szachy.

Otrzymałmy od **Bladej Różyczki**, wypracowanie konkurso- we, przy czem zwracamy uwagę naszych czytelniczek, że konkurs piśmienny ogłoszony został *tylko dla chłopczyków i dla staruszek*; dla pańienek zaś konkurs robót, jak zwykle podczas wakacyj.

Ach! Pondiszery, dobrze poznajemy dawną znajomą pod nowym pseudonimem. Robótka, choćby nawet nie nagrodzona, zawsze się przyda jakiemuś biedactwu. Czy to nie najlepsza nagroda? Prace, z rodzaju tych, o które pytasz, przyjmujemy... jeżeli są dobre. To jedyny tytuł do pozyskania „sławy” o którą się pragniesz „dobijać.”

Kopciuszek, ośmioletni ślicznie robi, że naśladuje siostrzyczkę w dobrem. Posiadając „Królowę” nie naraziłby ją zapewne na tyle smutnych przygód, ile ich tamta doznała.

Świtezianka, **Kwiatek pustyni** i **Werbel domowy**, nadesłały robótki o których losie dowiedzą się w swoim czasie. Dziś, dziękujemy tylko za nie. Sukieneczki nie mogą być nigdy nadto skromne, przeznaczone są bowiem dla bardzo ubogich dzieci, które nie mają się w co odziać. **Werbel D.** niech odczytać zechce odpowiedź daną Bladej Różyczce.

P. Paul. F. Żądanie pani jako zupełnie słuszne i świadczące o gorliwym przyjęciu się obowiązkami, z przyjemnością uwzględnimy.

Jeżeli **Przyjaciółka Mamy** nie popełniła żadnej omyłki, to obliczył Józio że dniem jej urodzin był 13 stycznia r. 1878.

Tak, **Kingo**, niedługo już skończą się wakacje. „Trzeba się uczyć, przeminał wiek złoty” z poetą powtarzam, myśląc o tem, że trzeba będzie wydobyć z szuflady zeszyty, przy których użytecznie, ale nie tak przyjemnie czas upływa, jak mnie na wsi, a tobie **Przyjaciółko Mamy** w Ciechocinku. Bądź spokojna, parę dni opóźnienia nic nie znaczy. Redakcja nasza nie bardzo sroga.

Ach, **Marzycielko** droga, jak ja się uśmiełam czytając opis twojej przygody z kwiatem paproci! Co to jednak za szkoda, że nie mnie pierwszej przyszedł do głowy tak wspaniały pomysł: byłoby mi się może udało zwieść starsze rodzeństwo? Nie pokazałam im twego listu, niech mam ten figiel w zapasie! Twój kuzynek się pewno nie pogniewa, że od niego pożyczam conceptów. Winszuję ci powodzenia w pracy... jaka też z ciebie pocztowa dziewczynka! Goplanie podziękuj za pamięć; powiedz, że i ja bardzo lubię grać w krokiet. Przyjaźni się twojej poleca.

Jaskółka.